Na szczytach świata. Część 2.

Rozmowa z Anną Borecką, samotną alpinistką, autostopem przemierzającą kolejne kontynenty, realizującą autorski projekt „200 szczytów świata”.

Wspinaczka „na żywca” w lodospadach Słowackiego Raju, fot. Stanisław Proszak.

Joanna Sokołowska-Gwizdka:

Jakie kraje, które do tej pory Pani przemierzyła, najbardziej Pani zapamiętała?

Anna Borecka:

Te, w których nieźle dostałam w kość, a więc Iran i Chiny. Pierwszego dnia w Teheranie zostałam okradziona przez taksówkarza. Potem trafiłam na demonstracje

uliczne. Musiałam przejść wśród skandującego tłumu i uzbrojonego kordonu policji, żeby dostać się do akademika, w którym mieszkałam. Jednak bardziej dało mi się we znaki codzienne przemierzanie wielomilionowej stolicy, żeby wyrobić trzy wizy do krajów poradzieckich. W pewnym momencie byłam w sytuacji patowej, bo utknęłam tam na dobre. Zaczęłam więc załatwiać pozwolenia od ostatniego w kolejności państwa, czyli Tadżykistanu. A po wizę do sąsiedniego Turkmenistanu musiałam jechać aż pięćset kilometrów dalej, zmieniając wcześniej zaplanowaną trasę. W międzyczasie weszłam na **Demawand** (5610 m), najwyższy szczyt Iranu, więc moje wysiłki zostały nagrodzone.

W Zachodnich Chinach był stan wojenny, na ulicach mnóstwo uzbrojonej policji i wojska oraz czystki w domach Ujgurów. A dogadać się tam nie można „za Chiny Ludowe”. Była też blokada łączności ze światem, więc wybierałam niewielkie kwoty z bankomatu, żeby córce dać znać, że żyję.

Na Demawand (5610 m n.p.m.) z grupą Irańczyków, fot. z archiwum Anny Boreckiej.

Czy zdarzyły się Pani naprawdę niebezpieczne sytuacje?

Zawsze się jakieś zdarzają. W Tadżykistanie zabłądziłam w górach Pamiru i weszłam na teren bazy wojskowej, za co oficerowie chcieli mnie aresztować i zamknąć na pół roku w więzieniu. Szybko wyjęłam mapę i pokazałam skąd przyjechałam autostopem, żeby wspinać się sama w górach. Nigdy wcześniej tak dobrze nie mówiłam po rosyjsku. (Śmiech) Tym ich zaskoczyłam, więc nawet mnie nakarmili i odwieźli do najbliższej wioski.

Na Karakorum Highway zatrzymali mnie chińscy policjanci i zabronili dalej podróżować autostopem. A gdy się im sprzeciwiłam, to jeden mnie szarpał i popychał, a drugi podniósł do góry karabin. Uspokoiłam się, pokazałam wizę w paszporcie i… pojechałam dalej autostopem.

Jadąc „na stopa" przez kazachski step tylko cudem uniknęłam gwałtu, ale opowiadać o tym nie będę. Kto zechce, ten przeczyta w drugim tomie „Alpinistki na autostopie". W Kosowie byłam w górach sama, gdy ktoś całkiem blisko strzelał z kałasznikowa. Słyszałam głosy kilku mężczyzn, ale ich nie widziałam, bo na szczęście była mgła. Nagle jeden z nich tak przeraźliwie zaczął krzyczeć, że mocno skuliłam się i po cichutku, biegnąc koleinami, opuściłam zagrożony teren.

W Alpach, Pamirze i Karakorum skakałam sama przez szczeliny lodowcowe na wysokości 4000-6000 metrów i parę razy do nich wpadłam, ale na szczęście niezbyt głęboko. Wbiłam więc czekan przed siebie, wyciągnęłam się na nim i odczołgałam, żeby wreszcie stanąć na nogach. W różnych górach miałam kilka wypadków i kontuzji z poważnym uszkodzeniem kolan, naderwaniem mięśni i więzadeł w obu nogach. A na Bałkanach, gdy zwichnęłam prawą dłoń i momentalnie spuchła mi jak bania, to martwiłam się, jak będę łapać „stopa". Chociaż najpierw musiałam wrócić sama z gór w czasie burzy, zrobić ręczne pranie, bo wszystko było ubłocone, i spakować plecak. To była męka, każdy ruch sprawiał mi ból, ale przecież sama wybrałam samotny styl podróżowania. Jednak nigdy nie przerwałam wyjazdu, a kontuzje leczyłam dopiero po powrocie do domu, nawet przez pół roku.

Poprzedniego lata, na Cabo Verde, wspinałam się w skale i wyrwałam z niej wielki kamień. On uderzył mnie w nogę, na szczęście nie odpadłam od ściany, ale do dzisiaj

mam wgłębienie w udzie. A potem potrącił mnie taksówkarz, bo nie zauważył mnie, gdy cofał auto. Bardzo bolał mnie kręgosłup, ale musiałam założyć plecak i iść dalej, bo przecież nie mogłam się bić ze zbiegowiskiem Afrykańczyków. Jednak byłam w takich nerwach, że kierowca dostał ode mnie parę razy w łeb. To tylko kilka drastycznych sytuacji, jakie przeżyłam, ale zdecydowanie wolę pamiętać te pozytywne.

Autostopem na Karakorum Highway, fot. Anna Borecka.

Czy idąc samotnie w góry zdarzyły się pani jakieś zaskakujące spotkania, nieprzewidywalne sytuacje, z którymi musiała się Pani zmierzyć?

O niektórych z nich już opowiedziałam, więc dla odmiany podam zabawny epizod. W Andorze zeszłam z gór wieczorem, chociaż rozsądniej byłoby zabiwakować gdzieś w lesie. Długo nie mogłam złapać stopa. W końcu zatrzymał się jakiś brodacz, ale mówił tylko po hiszpańsku. Skleciłam jakieś zdanie, że zdobywam różne szczyty w

Europie, a on uśmiechnął się i zaprosił mnie do auta. I tym sposobem trafiłam do Asturii, na północy Hiszpanii, w góry Picos de Europa, o których istnieniu wcześniej nie wiedziałam. Cóż było robić, poszłam w góry i tam. Okazało się, że ten brodacz, wyglądający jak święty Mikołaj, był emerytem i mieszkał w kamperze. Od czterech lat żył w drodze, zwiedzał kraje Europy Zachodniej, chociaż nie znał języków obcych. Do domu wracał raz na trzy miesiące, żeby zrobić badania, bo od lat poważnie chorował. A potem znów ruszał w świat, mówiąc że te podróże – to dla niego najlepsze lekarstwo, a widoki z okna samochodu – to najpiękniejsza telewizja. Nie chciał ujawniać swojej tożsamości, więc nazwałam go Incognito.

Hm, jeśli chodzi o zaskakujące spotkanie, to przypomniała mi się pewna historia. Na Islandii poszłam sama na najwyższy szczyt **Hvannadalshnúkur** (2110 m). Góra jest niewielka, ale znajduje się na zdradliwym, dużym lodowcu Vatnajökull. Tam pogoda zmienia się co chwilę i często panują arktyczne warunki. Szczeliny przykryte są warstwą śniegu i łatwo zgubić się w zadymce. Nikt więc nie chodzi tam sam, bez liny i bez GPS-u… poza mną.

Za moim drugim podejściem w stronę szczytu nagle zaczęło wiać lodowym powietrzem, kryształki śniegu siekły mnie po twarzy, a potem pojawiła się gęsta mgła, widoczność spadła do zera i zrobiło się czarne niebo. Przestraszyłam się, że mam problemy ze wzrokiem, ale sytuacja ciemności w ciągu dnia powtórzyła się. Nic nie widziałam, nawet śladów butów na śniegu, które wcześniej mnie prowadziły. Nagle usłyszałam dziwny męski głos, przytłumiony i matowy, niczym wydobywający się spod ziemi: „Zawracaj!”. Stanęłam jak wryta, nasłuchując. Zrobiłam dwa kroki i znów usłyszałam: „Zawracaj!”. Zatrzymałam się, zdjęłam okulary, nikogo wokół nie było. Jednak nie musiałam się rozglądać, bo czułam, że ten głos nie pochodzi z zewnątrz, ani z mojego wnętrza. On był takim głosem zza grobu. Siódmym zmysłem, który nieraz już mnie ostrzegł, zobaczyłam mężczyznę około czterdziestki, z szarymi, kręconymi, ale krótkimi włosami. Był niewysoki, średniej budowy ciała i miał na sobie gruby, szary sweter z wełny, z długim jasnym włosiem. Do dzisiaj pamiętam tę postać i ten głos, jakiego nigdy wcześniej nie słyszałam. Zastanowiło mnie to, zaczęłam się kręcić w miejscu, szukając śladów moich butów na śniegu, żeby zawrócić. Jednak zmiótł je wiatr. Na szczęście po kilkunastu minutach trochę się przejaśniło, zobaczyłam szczelinę przykrytą śniegiem, w miejscu gdzie chciałam pójść. Moja droga powinna iść prosto, ale posłuchałam głosu intuicji i zawróciłam.

Jökulsárlón – atrakcja turystyczna na autostopie w Islandii, fot. Anna Borecka.

Okrążyłam autostopem całą Islandię, zwiedzając kilka pięknych miejsc i po tygodniu wróciłam na **Hvannadalshnúkur**. Na szczyt weszłam więc dopiero za trzecim razem, ale i wówczas miałam dziwne zdarzenie. Było mgliście, dosyć ciepło, więc warunki były dużo lepsze. Zatrzymałam się na lodowcu, na łyk herbaty z termosu i usłyszałam za sobą wyraźny, tubalny głos: „Don't go there!" (Nie idź tam!). Popatrzyłam zdziwiona wokół, lecz nikogo nie dojrzałam. Po chwili ten sam głos powtórzył się z przodu, a tam też nikogo nie było. Poza tym, nie mogło być, bo to był głos mojego przewodnika z Araratu, z 2008 roku. Głos Kurda, mówiącego słabo po angielsku i bez akcentu, w rytmie „ta ta ta". „Don't go there!". Trochę mnie to zdziwiło, a trochę rozśmieszyło. Tym razem nie posłuchałam, poszłam dalej, przeskoczyłam przez kilka szczelin, a przed samą kopułą szczytową wpadłam prawą nogą do szczeliny aż po samo udo. Szybko wyciągnęłam się na czekanie i odetchnęłam z ulgą. W nagrodę za waleczność zrobiłam kilka zdjęć z czubka góry, bo właśnie na chwilę przetarły się mgły.

Reasumując, pierwszy głos ostrzegawczy mógł pochodzić z tak zwanej pamięci

zbiorowej. Tak stwierdził mój znajomy już w Polsce, przyprawiając mnie tym o gęsią skórkę. Natomiast nie wiem, jakim cudem przemówił do mnie kurdyjski przewodnik, który chyba nawet nie wie, gdzie jest Islandia. Chłopak miał tylko dwie klasy szkoły podstawowej. Najpierw pasł owce na stokach Araratu, a gdy skończył dwadzieścia lat, to pasał tam turystów i alpinistów. (Śmiech) Tak, człowiek nigdy nie jest sam, nawet wtedy, gdy jest o tym przekonany. Czasami zdarzają mu się w górach bliskie spotkania trzeciego, a nawet czwartego stopnia. (Uśmiech)

Napisała pani m.in. książkę „Alpinistka na autostopie". Czy podróżowanie autostopem, to większa szansa na poznanie ludzi, ich codziennego życia, zwyczajów, marzeń?

Tak, oczywiście, bo obcy ludzie zapraszają mnie do swoich domów. Rozmawiamy o ich poglądach na świat, codziennych troskach, ale rzadko mówią o swoich wielkich marzeniach. Oni zazwyczaj żyją tu i teraz. Ja mam okazję poznać ich codzienność, a oni cieszą się z odwiedzin niespodziewanego gościa. Piszę o tym w obu tomach „Alpinistki na autostopie", przedstawiając ludzi z Europy Wschodniej i połowy Azji. Dzięki licznym rozmowom zdobywam wiedzę o różnych krajach i ich mieszkańcach. Mam też możliwość dotarcia do miejsc, których nie znają turyści, np. mogłam przenocować w kirgiskiej jurcie i poznać codzienne życie w górach, wielodzietnej muzułmańskiej rodziny.

Powrót na Pamir Highway po noclegu u gościnnych Kirgizów, fot. Anna Borecka.

A jeśli chodzi o autostop, to mam okazję obserwować różne zachowania kierowców wobec kobiety-autostopowiczki. Polacy, Czesi i Słowacy lubią ponarzekać na swój los, ale rodacy poczęstują gołąbkami lub bigosem ze słoika. Szwajcarom wystarczy informacja skąd jestem. Islandczycy zgarną mnie z drogi w najgorszą zawieruchę. Finowie mają gest – z trenerem golfa jechałam sportowym BMW o wartości 200 000 euro. Z sympatycznym fińskim małżeństwem podróżowałam przez dwa dni aż do ich domu, gdzie zaprosili mnie na wykwintną kolację i nocleg. Mieszkańcy Bałkanów widzą w Polakach kamratów, więc z każdym kierowcą trzeba wypić w barze przynajmniej jedną filiżankę kawy. Austriacy traktują mnie jak powietrze, ale Austriaczki zawsze zawiozą mnie do centrum handlowego, chociaż tam nie jest mi po drodze. Włosi i Hiszpanie nie zabierają autostopowiczów, ale jak któryś się zatrzyma, to już oferuje długą trasę. Podróżując z Francuzem, Turkiem lub Chińczykiem mogę czasami siąść za kierownicą osobówki lub pick-upa. A na Pamir Highway poprowadziłam ciężarówkę pewnego Kirgiza. Wtedy wjechałam na **Ak Baital** (4655

m), najwyższą przełęcz na tej drodze. Z mieszkańcami Azorów zwiedziłam na stopa wyspę Pico, a na Cabo Verde dotarłam autostopem do zamieszkałej kaldery, chociaż tam ponoć nikt nie wozi ludzi za darmo.

Mówi Pani, że na całym świecie żyją ludzie tacy sami jak my. Pod jakim względem są tacy sami?

Dotychczas odwiedziłam 63 państwa na pięciu kontynentach i spotkałam ludzi z wielu innych krajów. Śmiem więc twierdzić, że wszędzie ludzie są do nas podobni, bo mają zbliżone problemy i marzenia, a różnią się miejscem urodzenia. To miejsce bardzo determinuje ich życie, lecz w gruncie rzeczy, oni są tacy sami jak my. Człowiek jest z natury dobry, bo taki przychodzi na świat, czysty, niewinny i ufny. Niestety, później się socjalizuje. Jednak każdy z nas dąży do tego samego, żeby zapewnić byt sobie i rodzinie, żeby żyło się bezpieczniej i wygodniej, żeby radzić sobie z problemami, wyznaczać kolejne cele i w miarę możliwości realizować swoje marzenia. Przekonałam się o tym na autostopie, w podgórskich wioskach, w różnych miastach. Niektórzy ludzie byli początkowo nieufni wobec mnie albo coś kombinowali. Jednak jak zaczęłam z nimi rozmawiać i przekonali się, że jestem normalnym człowiekiem, to stawali się życzliwi i pomocni, albo zostawiali mnie w spokoju. To daje mi wiarę w człowieka. Każdy z nas ma jakieś zalety i wady, i tworzy różne relacje z poznanymi ludźmi, ale w większości wszyscy jesteśmy normalnymi, pozytywnymi osobami. A ci, emanujący negatywną energią, zazwyczaj mają problemy, z którymi sami sobie nie radzą. Dlatego trzeba im pomóc, jeśli czujemy się na siłach, albo omijać ich długim łukiem. W czasie podróży programuję się pozytywnie, więc zazwyczaj spotykam ludzi, z którymi coś mnie łączy, chociażby zwyczajna, serdeczna rozmowa.

Kolacja w tadżyckiej wiosce, ale u Kirgizów, fot. z archiwum Anny Boreckiej.

Powiedziała Pani kiedyś, że skacząc przez szczeliny w Pamirze poznała Pani swoją rodzinę w Kanadzie? Jak do tego doszło?

To oczywiście taki skrót myślowy, ale podoba mi się wizja wielkiego skoku, przez dwa kontynenty i jeden ocean. A historia jest niezwykła. W 2009 roku chciałam wejść na **Pik Avicenny** (7134 m) w Pamirze. Na lodowcu, około 5000 m n.p.m., trafiłam na takie szczeliny, których nie mogłam przeskoczyć. Jednak, sporo ryzykując, pokonałam te ziejące czeluści i dotarłam do następnego obozu, za rosyjskim alpinistą. Niestety, z powodu trzydniowego huraganu i odczuwalnej temperatury, około -50 stopni Celsjusza, zrezygnowałam z ataku szczytowego. Kilku rosyjskim śmiałkom i tak nie udało się zdobyć siedmiotysięcznika, a jednemu z nich amputowano później kilka palców u nóg. Wycofując się z **Piku Rozdzielenia** (6148 m) pomagałam spakować plecak Polakowi, który miał poodmrażane palce u rąk. Potem zaprosił mnie na „Zlot Łojantów z lat 70-tych”. W schronisku „Morskie Oko”

poznałam żywe legendy polskiego taternictwa, jak o sobie mówili. Ze zdziwieniem zauważyłam, że są to dziarscy ludzie z poczuciem humoru, wywijający na parkiecie w tanecznym rytmie. Tam też poznałam innego „łojanta”, który zaprosił mnie do Kanady w 2014 roku. Wtedy byłam poważnie chora, więc to zaproszenie potraktowałam jak zbawienie. Żeby wyjść z choróbska, musiałam znaleźć konkretny cel, a w Kanadzie nigdy wcześniej nie byłam. Napisałam więc wiadomość na fejsbuku do moich trzech kuzynów, urodzonych w kraju klonowego liścia, że będę w ich okolicy, więc mogę wpaść na kawę. Pierwszy odpisał mi Joe, że w takim razie zaprasza mnie na wesele swojego syna. Właśnie w tym czasie, Adam weźmie ślub z Amandą, piękną Hinduską. Wtedy będę miała okazję poznać całą rodzinę. No to poleciałam! Umówiłam się też na spotkanie ze znajomymi Polakami z Ottawy, których poznałam w drodze na **Aconcaguę** (6960 m) w 2003 r. Reasumując, stojąc przed wielką szczeliną w Pamirze, nie wycofałam się, lecz przełamałam własny strach i przeskoczyłam na drugą stronę. Dzięki temu poznałam polskich „łojantów”, którzy zaprowadzili mnie aż do rodziny w Kanadzie.

Na lodowcu w Pamirze, około 4500 m n.p.m., fot. Anna Borecka.

Czego nauczyły Panią góry i podróże?

Nauczyłam się pokory wobec gór, małych i dużych, oraz radzenia sobie w różnych sytuacjach. Nauczyłam się też szacunku dla ludzi odmiennych kulturowo, umiejętności rozmowy prawie z każdym człowiekiem, przełamywania własnych barier, odkrywania piękna świata w drobnych rzeczach. Nazywam to prostotą chleba. Czasami uśmiech lub pozdrowienie przez nieznaną osobę, w obcym kraju, znaczy więcej, niż spotkanie z dużą grupą znajomych. Nauczyłam się, że świat jest piękny, a ludzie są dobrzy i bardzo do nas podobni. Dla mnie nie ma znaczenia, co ktoś posiada, lecz jakim jest człowiekiem. W czasie swoich wypraw poznaję ubogich, lecz pięknych ludzi, którzy mają w sobie radość i spokój. I tego staram się od nich nauczyć, chociaż z różnym skutkiem.

Czego oczekuje Pani od życia?

Zdrowia i szczęścia dla moich bliskich i znajomych. Chciałabym też, żeby nam wszystkim żyło się lepiej i ciekawiej. Dla siebie chcę realizacji projektu „200 Szczytów Świata” oraz posiadania „m&m’s-ów”. Nie chodzi tu o kolorowe czekoladki w kształcie kulek, ale o „man&money”. Potrzebuję życzliwych ludzi na całym świecie, którzy pomogą mi osiągnąć górskie cele. Ja w zamian będę o nich pisać w moich książkach i opowiadać na prezentacjach. Przydałoby się też zarobić trochę pieniędzy na moich pasjach, żeby nie tułać się autostopem po świecie i nie nocować w klaustrofobicznym namiocie, gdzieś na odludziu, lecz spać w łóżku, w jakimś hostelu, albo jeszcze lepiej w jeepie lub kamperze. Wtedy szybciej mogłabym realizować projekt i zabrać w podróż chętne osoby. Mój górski projekt to już nie pasja, lecz imperatyw! To cel zawodowy na najbliższe dziesięć lat albo do wyczerpania zapasów państw i gór. A potem to już będę pisać same bestsellery. (Śmiech)

Pierwsza część wywiadu:

https://www.cultureave.com/na-szczytach-swiata-czesc-1/

Książki Anny Boreckiej:

„Alpinizm – życie na haju”, książka wydana nakładem autora, Wrocław 2006;

„Alpinistka na autostopie. Tom 1. Przez Karpaty na Ararat”, Wydawnictwo Bernardinum, Pelplin 2015;

„Alpinistka na autostopie. Tom 2. Z Polski do Chin”, Wydawnictwo Bernardinum, Pelplin 2016.

„Śpiew lodowca”, książka w przygotowaniu, planowane wydanie w 2019 roku.